

162720

II

MARCELINA KULIKOWSKA.

MISTRZ ZENON

Dramat w trzech odsłonach.



KRAKÓW,
NAKŁADEM AUTORKI.
CZCIONKAMI DRUKARNI UNIwersYTETU JAGIELL.
pod zarządem Józefa Filipowickiego.
1899.

MISTRZ ZENON.

MARCELINA KULIKOWSKA.

MISTRZ ZENON

Dramat w trzech odsłonach.



KRAKÓW.
NAKŁADEM AUTORKI.
1899.

OSOBY:

KRÓL FILIP.

MISTRZ ZENON.

CEZAR }
WALERY } uczniowie mistrza.

BEATRICE.

BANKIER DENARUS.

RADNI KRÓLEWSCY.

POSŁOWIE.

TŁUMY LUDU.

Rzecz dzieje się w mieście Solaryi w ciągu dwóch pierwszych aktów. Akcja aktu trzeciego rozegrywa się w mieście Lunaryi.

Między aktem pierwszym a drugim upływa kilka miesięcy, jak również między drugim a trzecim.



CZCIONKAMI DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELL.
pod zarządem Józefa Filipowskiego.

K. 579/51

Odsłona I.

Scena przedstawia obszerną pracownię rzeźbiarską; kilka zaczętych prac, dokoła ścian odlewy, studia, gips i glina do lepienia modeli. W pracowni wiele zielonych i kwitnących roślin, parę biustów i drobnych rzeźb przystrojonych zielenią.

Cezar pracuje nad wielkim posągiem kobiety w powłóczyściej szacie.

Walery stoi w głębi sceny, z zachwytem patrzy na drobną rzeźbę wyobrażającą Młodość.

WALERY.

O Cezarze! spojrzysz na tę drobną mistrza naszego pracę! patrz jakie życie bije, jakie wesołe tryskają promienie z tej niewykończonej jeszcze postaci Młodości. Żyje posążek, żyje, mistrz wlał weń źródło życia!

CEZAR.

Nie zdołasz Walery nic wykrzesać z siebie, jeno puste zachwyty nad dziełami mistrza. I ty, i całe tłumy Solaryi wielbić tylko umiecie, cześć i pochwały śpiewać mistrzowi. A możeby i gdzieindziej zasługa wynaleźć się dała, może i nie mistrz jeden przykłada tylko rękę do przyozdobienia rodzinnego miasta, do rozniesienia sławy jego po świecie.

WALERY (*podchodząc do Cezara*).

Czyż byłby kto w Solaryi, co z mistrzem naszym mógł się mierzyć, coby równym jego zdolny był zabłysnąć talentem?

CEZAR.

Dlaczego wydaje się nam wszystkim, że nie znajdzie się nikt, kto z mistrzem mógłby iść w zawody? On ma talent, lecz gdy kto usilnej pracy dolożyć zechce, dogna go na drodze sławy. (*Chwila milczenia*). Nie jemu tylko laurowym liściem wieńczyć skronie.

WALERY.

Jak dziwnie mówisz Cezarze. Mnie nigdy przez myśl nic podobnego nie przeszło. I tak mi się to niebywałem wydaje, żeby kto z mistrzem równać się pragnął.

CEZAR (*spogląda na Walerego z szyderstwem, które przechodzi w gniew tłumiony*).

O wy! których po drodze życia pędzi złoty bicz mniemanych talentów i potęg niebywałych! I nawet patrzeć nie umiecie wokoło siebie i nie szukacie nowych przewodników, trzymając się tylko kraju szat tamtych, co przed siebie was gnają, bez waszej wiedzy i woli, może gdzieś aż na bezdroża.

WALERY.

Co ci Cezarze? Dlaczego przyganiasz nam wszystkim, którzy śladem mistrza stąpać pragniemy, bo przecież on jedynie do doskonałości wieść może!

CEZAR.

O tak, tak... Mistrz tylko do doskonałości wiedzie... Gdy wam kiedyś w jedne uderzono dzwony zdaje się

wam, że po
się na świeci
(*Wcho*
ogląda ją).

Cezar

Ja m
modelu m

Nie

Te
zasad sz
mnie, st
fald sza
w całos

C
sobą, l

posiad
rzedni
dziel
wolno
wszel
sem
się

wam, że po za niemi żaden nowy dźwięk nie znajdzie się na świecie.

(Wchodzi mistrz Zenon, zbliża się do pracy Cezara, ogląda ją).

MISTRZ.

Cesarze i znowu pracy twojej brak życia.

CEZAR.

Ja mistrzu dłutem wydobyłem jak najwierniejsze modelu mego odbicie.

MISTRZ.

Nie dłutem, lecz duszą tyś pracować winien.

CEZAR.

Tę postać kobiety odtworzyłem wedle wszelkich zasad sztuki: linie wszystkie odpowiadają sobie wzajemnie, stosunki są bez błędu zachowane; nawet każdy fałd szaty opracowany tak, aby harmonijnie mógł się w całość złożyć.

MISTRZ.

Cesarze, sztuczną jest postać, którą widzę przed sobą, lecz nie prawdziwa ją stworzyła sztuka.

CEZAR.

O mistrzu, wiem ja dobrze, że twojej biegłości nie posiadam jeszcze. Jam uczeń, tyś mistrz i moje podrzędne stanowisko od wielu drobnych usterek nie chroni dzieł moich. Gdy się już mistrzem jest — rzecz inna: wolno odstąpić od prawideł, wolno, wbrew wskazówkom wszelkim, własnem rządzić się upodobaniem czy kaprysem nawet, lecz mnie — uczniowi — tylko wzorować się należy na tych dobrych czy niesłusznych pomysłach.

MISTRZ.

Cesarze, czy ci mówiłem kiedy, abyś na moich wzorował się pracach? Uczniem moim jesteś i chciałbym przelać w ciebie takie umiłowanie sztuki, jakiem ja płonę, chciałbym wypowiedzieć ci to, co w sercu głęboko czuję.

WALERY.

O mistrzu, tyś nieomylny, jedyny! Ach ta Młodość (*wskazuje na rzeźbę*), ileż mieści w sobie życia, czarów i wiośnianych promieni! Przed chwilą w zachwycie patrzyłem na nią! Ach gdybym mógł, gdybym mógł tylko podobieństwo jej uchwycić i w moją naśladowczą przelać pracę! Ja mistrzu pojmuję jak należy być uczniem twoim.

MISTRZ.

Ty mnie nie pojmujesz Walery. Ty nie pojmujesz co tworzyć znaczy. W siebie się wsłuchaj, w siebie tylko, w głos swój własny, w natchnienie swoje, w swoje czucie, a wtedy jedynie ducha odtworzysz w pracy swojej. Posłuchaj duszy. W niej ta siła i moc co tworzyć każe. — Tworzyć! Ja tworzyć pragnę, muszę! Ja z ducha mego wyrzucić chcę świat cały! Siła we mnie twórcza tak gra, tak jęczy, tak chce na swobodę, że ja muszę, muszę budować światy całe, duchem tchnąć muszę kamień martwy! Memu duchowi w piersi mej własnej za ciasno. Ja mistrz, ja potęgę swoją czuję! I wszystkie poetów pieśni co czczą ducha moc, i wielkość, i siłę — dla mnie są śpiewane; wszystkie pochwały, chóry uwielbienia, zachwyty wszystkie dla mnie są, dla mnie, twórcy! Pod dotknięciem mego dłuta marmur zamienia się w ciało, a w twarz posagu wstępuje duch! Co zechcę

z tłumami ludzi uczę
grać będę! Ja mistrz
mistrz, ja dusze ich
duszy, którą oni znają
co przed ich zakrytymi
im się raczy! Ten
ręce, w mojej mocy
dobędę, w słońca
wszystkich! Ja cała
lecz nie powszednia
żałobnica wdzięków
a dusza jej bolejąca
wściekła jak szalona
swojej — staje
jącej ludzkości cz
ja ją mam w sobie
kiej ludzkiej duszy
a w sercu błog
rozlewa się w
mi, co mi... jak
a wkoło dziwn
moje biegają
słodko!... A
A świat czy is
Jeżeli dzieje się
duszy mej po
kolwiek tchn
powie mi dor
wydobędę k
rzę — więc
rzę — więc

z tłumami ludzi uczynię. Na duszach ich, na sercach grać będę! Ja mistrz, ja drgania wyczuwam ich serc; ja mistrz, ja dusze ich rozumiem. I nie tylko tę cząstkę duszy, którą oni znają w sobie, lecz tego ducha widzę, co przed ich zakryty oczyma, co ledwie czasem objawić im się raczy! Ten skryty, ten prawdziwy duch w mojej ręce, w mojej mocy! Gdy zapragną, na światłość go wydobędę, w słońca blask, w dnia prawdę! Ja czuję ich wszystkich! Ja całą ludzkość czuję! Ja z nią cierpię! lecz nie powszedniem jej cierpieniem, a tem, które ona załobnica wdziewa, gdy zamilkną wszystkie gwary świata, a dusza jej bolejąca, ranna, miotająca się w rozpacz, wściekła jak szakal, skowycząca w bezsilnej niemocy swojej — staje sama przed sobą! Ja taką duszę bolejącej ludzkości czuję, — taką duszą jam kierować zdolny, ja ją mam w sobie... I zstępuje na mnie radość tej wielkiej ludzkiej duszy. Blaski... światła... pieśni płyną, a w sercu błogość... w sercu czar... Cisza... cisza... pieśń rozlewa się w przestrzeni i w dal płynie..., w dal... Co mi, co mi... jaka to dal?... Ja słucham i w upojeniu tonę, a wkoło dziwny czar, a wkoło świetlany blask! Oczy moje biegną w dal bez granic... O jak nieskończenie słodko!... A chwile czy płyną jakie? Co mi do nich!... A świat czy istnieje jaki? Nie wiem... Dobrze mi, dobrze... Jeżeli dzieje się co, staje się za woli mej tchnieniem, za duszy mej powiewem. — Ja mistrz! wszystko moje — cokolwiek tchnieniem swem ogarnę; każdy głos serca odpowie mi doniosłem, rozgłosnem echem! Z piersi ludzkiej wydobędę krzyk każdy, jaki wydobyć zapragnę. Tworzę — więc siłę mam, potęgę, wieczność w sobie. Tworzę — więc życie własne wlewam i jestem jako ten Bóg,

co słowem „stań się” światy wyprowadzał z nicości! I równego nie widzę sobie... Każdy największy z mistrzów, to ja sam. Jego dusza moją staje się duszą, jego wzrokiem ja patrzę, jego mocą rządę...

Zwiecie mnie mistrzem, chcecie, bym wam na drogach życia waszego przewodził. Oto znacie moje czucia, wiary! Z ducha je swego snuję; wam mówię, że dusz własnych radzić się macie, a jeśli w nich moc i potęgę znajdziecie — to wam moje niepotrzebne nauki, na własne idźcie drogę...

(W czasie przemowy mistrza wchodzi do pracowni Beatrice z koszem napelnionym kwiatami. Przystaje chwilę, zbliża się do grupy, którą tworzy mistrz z uczniami i słucha. Mistrz skończywszy, w zamyśleniu głębokim osuwa się na siedzenie, Beatrice staje obok niego. Walery i Cezar wychodzą).

MISTRZ *(sposstrzegłszy nakoniec Beatrice)*

Jesteś tu Beatrice... przynosisz mi kwiecica wonnego wiązankę... przynosisz mi czyste serce swoje,...

BEATRICE.

Cożbym ci innego przynieść mogła?

MISTRZ.

O moja dobra, droga dziewczeko!... A tobie do życia, do szczęścia czy nic nie potrzeba?

BEATRICE.

Wszak z tobą jestem.

I szczę
zawsze śpiew
ukochane kw

Dobrze
ukochane m
ziemi kłonia

Szkod

Szkod

Trwa tak
ja o tem n
się smucić

Nie
kwiaty
Patrz do
pragnien
rzyć cho
i patrze
z ducha
i rozko
bie, w
złej, w
mu leg
rów i

MISTRZ.

I szczęśliwa jesteś. Raduje się ciągle twoja dusza, zawsze śpiewałabyś jasne pieśni, pieściłabyś swoje białe, ukochane kwiaty?

BEATRICE.

Dobrze mi z tobą, dobrze... Mnie tylko smuci, gdy ukochane moje kwiaty tak prędko bledną, główki ku ziemi kłonią... więdną i marnieją...

MISTRZ.

Szkoda!...

BEATRICE.

Szkoda. Mnie i ludzkiego życia żal i szczęścia żal. Trwa tak krótko, chwilę ledwie... Gdy z tobą jestem, ja o tem nie myślę, ja tylko na ciebie patrzę, ja niczem się smucić nie chcę i tylko z tobą być...

MISTRZ.

Nie, nie, o smutku nie myśl. Rzuć go, rzuć! Twoje kwiaty (*wskazuje na koszyk z kwiatami*) żyją i żyć chcą! Patrz! dokoła nas słońce i zieloności pełno. W duszy pragnienie wre. Nam żyć! Ja w piersi ogień czuję, tworzyć chcę, żyć, życie siać, jutru ciskać ducha mego twory i patrzeć co dalej będzie, co dalej? Chcę wiedzieć co z ducha wyrośnie mego, z jego bólów i mąk, z upojeń i rozkoszy. »Czar życia« ja dziś tworzę! Czuję go w sobie, w marmur zaklnę, wszystkie promienie światła nań zleję, wszystkie radości w twarzy mu zamknę — u stóp mu legną śpiewy weselne, wiosna rozkoszy pełna, czarów i woni.

BEATRICE.

Tworzysz, nowe tworzysz dzieło? Pokaż mi.

MISTRZ.

Chodź biały kwiecie!
(*Wychodzą; chwilę scena jest pusta, wracają Cezar i Walery, każdy idzie do swojej pracy*).

WALERY.

Tak mi idzie niesporo, tak mało mogę z mistrzowskiego dzieła podobieństwa uchwycić.

CEZAR.

Weź raczej księgę zasad sztuki rzeźbiarskiej, w niej znajdziesz dokładne wyjaśnienie wszelkich trudności. Nie jeden mistrz ją układał, całe wieki złożyły się na mądre rady, które mieści w sobie.

WALERY.

Tam tchnienia ducha brak.

CEZAR.

O jak naiwna wiara twoja! Myśli innej nie znajdziesz w sobie, jak tę, która ci przez mistrza gwałtem narzuconą została.

(*Wchodzi kilku wysłańców od króla Filipa, zwracają się do uczniów:*)

POSEŁ I.

Gdzie mistrz wasz? Przychodzimy cześć mu złożyć i naszego wielkiego króla Filipa wolę wyrazić. Gdzie mistrz wasz?

CEZAR.

Nie wiem, może z bogi się brata, on, co się za wielkiego jak Bóg uważa.

Mistrz na
jęty wielkiem,
gorącej.

Gdzież on

Pójdę, oz
spocznijcie tu p
mamy szczęści
nieszczęśliwości.

(*Wychodzą*)
(*Postawia*)
sagu, przy któ

Czy mi

Mistrza

Zaiste

Znajd

O tak
jaka harmo
licznych w

Tak,
dzieło moj

WALERY.

Mistrz nasz przed chwilą natchnieniem był przejęty wielkiem, dusza jego w mowie do nas trysnęła gorącej.

POSEŁ I.

Gdzież on?

WALERY.

Pójdę, oznajmię mu wasze przybycie. Wnet wrócę, spocznijcie tu panowie. — My, uczniowie mistrza, pierwsi mamy szczęście prace jego oglądać, czytać w nich geniuszu głoski.

(Wychodzi).

(Posłowie zasiadają, jeden z nich podchodzi do posagu, przy którym pracował Cezar).

POSEŁ I.

Czy mistrza to praca?

CEZAR.

Mistrza? Nie — to moja, nieznanego ucznia mistrza.

POSEŁ I.

Zaiste pięknem jest wykończenie tego posagu.

CEZAR.

Znajdujesz tak panie?

POSEŁ I.

O tak. Ja znam się na sztuce. Jaka to pełność form, jaka harmonia w układzie szaty. Patrzcie panowie, czy licznych w posagu nie dostrzegacie zalet?

CEZAR.

Tak, to harmonia nadzwyczajna, a wynika stąd, że dzieło moje jest ściśle do przepisów sztuki dostosowane.

Każdy cal marmuru stokrotnie był odmierzony, zanim
mu kształt właściwy nadałem.

POSEŁ I.

Czy to mistrz wydał te przepisy?

CEZAR.

O nie, on się żadnych nie trzyma — on z duszy
tworzy.

POSEŁ I.

Jakżeż to z duszy? Wszak każda sztuka powinna
być ścisłym przestrzeganiem pewnych prawideł — na
to jest sztuka. A im misterniejsze prawidła, tem dzieło
doskonalszem być może.

CEZAR.

Nie takim jest zdanie mistrza naszego.

POSEŁ I.

Dziwne, dziwne, a wszak to mistrz wielki.

INNY POSEŁ.

Co znaczy wielki, to niezrównana, rzadka potęga.
(Do Cezara). Wysłali nas z miasta Lunaryi, bo i tam
doszły wieści o sławie mistrza. Już tu widzieliśmy prace
jego piękne...

POSEŁ III.

Olbrzymi posąg na rynku...

POSEŁ I.

Cudowna Psyche; nie pojmuję tylko, czemu ma
tak chude łydki?

POSEŁ III.

Snać takie w Solaryi o piękności pojęcie; wiem,
że tę Psyche wszyscy niezmiennie chwalą.

Głos lud
(Mistrz
boki pokłon, p

Sława t
miasta. Tyś
wokrag niej
sagi; tyś na
którego pod
którego ci
klask świat
wet możesz
i nasz pan
o dzielach
rzawszy i
życzenia m
Tron obja
wiatan na
i tu w dal
wslawion
nazwiska
Nad lude
nie uszła
winowaj
kłym sw
szli wsz
poddany
w poslu
część i

POSEŁ II.

Głos ludu — głos Boga. Przedniego macie mistrza.
(Mistrz wchodzi, posłowie wstają, oddają mu głęboki pokłon, pierwszy poseł mówi):

POSEŁ I.

Sława twoja mistrzu do naszego dalekiego zabiegła miasta. Tyś pierwszy mistrz w Solaryi i pracami swemi wokrag niej slyniesz. Twoje dluto tworzy potężne posagi; tyś na rynku rodzinnego miasta wystawił olbrzyma, którego podziwialiśmy idąc do ciebie. Wielki jest dar, którego ci nieba udzielić raczyły, talent twój jedna poklask świata, holdy, uznanie i dostojenstwa; zyskać nawet możesz pamięć i przyjaźń władców potężnych. Oto i nasz pan miłościwy, król miasta Lunaryi, zasłyszawszy o dzielach twoich, wysyła nas, byśmy, prace twe obejrzawszy i oceniwszy ich doniosłość, przedstawili tobie życzenia monarsze. Król to możny, wspaniały a hojny. Tron objął po równie wielkim swym poprzedniku. Lewiatan na imię zgasłemu panu. Wszak cię słuchy o nim i tu w dalekim kraju dojść musiały. Rządy jego licznemi wslawione podboje, a wrogowie drżeli przy wymawianiu nazwiska jego. Stokrotna cześć i chwała imieniowi temu. Nad ludem swym otwartą trzymał źrenicę i wzroku jego nie uszła złość żadna, żaden występpek. Srogim był dla winowajców, bo tak wszystko mieć pragnął, jak niezwykle swym pojął rozumem i chciał, by za rozkazem jego szli wszyscy. Głos jego dreszczem trwogi przejmował poddanych, a przed wzrokiem króla lud skamieniały w posłuszeństwie stawał. Imię Lewiatana dziś jeszcze cześć i postrach niesie z sobą. Teraz miłościwie nam

panujący król Filip — poprzednika swego i stryja wielbi, a cnoty jego za wzór obrał sobie. Zgasłego przodka pamięć uczcić pragnie i przed oczy ludu choć kamienną podobiznę jego umieścić, aby każdy przez rynek miasta dążący widział jaśniejącą postać zmarłego króla, o wielkiej potędze jego wspominał i myślał jednocześnie, że na tronie zasiada król równy Lewiatanowi władzą i siłą. Ty mistrzu wystawiłeś olbrzymia w mieście twem rodzinnem, kto spojrzy, dostrzega moc i potęgę w twarzy i postaci jego. Ty możesz być zdolny i naszego zmarłego wyobrazić władcę. Z tem przyszliśmy od króla Filipa. Wzniesź pomnik godny Lewiatana, a monarcha nasz uczcić ciebie potrafi. Złota i drogich klejnotów nie brak w skarbcu jego, a darzyć on może i zaszczytnemi nazwy tych, którzy wolę jego pojąć i wypełnić są zdolni.

MISTRZ (*zapalając się do myśli swojej*).

Mam wznieść posąg Lewiatana! Król to straszny i groźny... Lud drży na widok jego... Wzrok jego miota przekleństwa... Na karkach poddanych trzyma swą stopę... Własną wolę zna tylko...

POSEŁ I.

Tak, to króla Lewiatana obraz. Za pięć miesięcy upływa lat siedm, gdy monarcha ten istnienie swe w ziemskie przeniósł krainy. Niech do tego czasu dzieło stanie twoje. Na wszelki materyał koszty wyłoży król nasz miłościwy. Jeżeli pragniesz wiele złota — mieć je możesz na przyozdobienie posagu. Może i twarz szczerozłotą ulejesz, by tem większy podziw budzić w patrzącym narodzie. Barwnymi kamieniami wysadź płaszcz królewski, by zdaleka skrzył się posąg drogocnością

i tem przypominał potęgę zmarłego króla. Bo zadaniem twojem byłoby odtworzenie wszechwładzy i prawdziwej mocy, którą dawny nasz pan w niezrównanym posiadał stopniu.

MISTRZ.

Jeśli pragniecie, bym wam odtworzył prawdziwego zmarłego władcę, nie potrzebne mi do posagu złoto, ni drogie kamienie. Prawdę ja bez nich zdołam wlać w postać i rysy królewskie.

POSEŁ I.

Jak chcesz mistrzu. Myśmy tak rzekli, jako nam pan nasz rozkazał i zaiste, zdawałoby się, że blask kruszcu i migotanie dyamentów nadaćby mogły dziełu większego majestatu.

MISTRZ.

Król Filip pragnie, bym mu odtworzył wierny obraz zmarłego monarchy?

POSEŁ I.

Tak, żeby ludzie patrząc nań myśleli, że wśród nich jest jeszcze, a potęga jego w całej mocy przeszła na miłościwie nam panującego Filipa.

MISTRZ.

Chcecie prawdziwego mieć Lewiatana,.. Dobrze... Stworzę go wam... Siłę po temu mam w sobie... moc jego oddam wiernie... Ten król... niech z głazu wykuty... narodowi jeszcze groźnym będzie... niech od niego wieje ku ludowi strach i rozkaz, co ślepe rodzi posłuszeństwo... niech jego wzrok, wyraz twarzy, za każdym maluczkim biegnie, niech mówi mu, że potęga raz stworzona żyje, żyje, żyje!

Mistrz Zenon,



POSEŁ I.

O tak mistrzu pojąłeś, pojąłeś zadanie swoje. Nasz pan za wykończone dzieło stokrotną cię obdarzy łaską. Tymczasem na dowód hojności jego przynosim ci drogie dary. (*Chce mistrzowi wręczyć trzos złota*).

MISTRZ.

Bierzcie je sobie, nie kładźcie mi przed oczy trzosów złota! Ja tworzyć pragnę, bo potęgę tworu czuję, ja się twórcą stanę. Z pod ręki mej zmartwychwstanie człowiek taki, jaki w proch rozsypał się w grobowej pleśni.

POSEŁ I.

Nie chcesz zadatku brać mistrzu, ufasz naszemu władcy, on nie zawiedzie cię, wierzaj.

MISTRZ.

Pracę moję zaraz rozpocznę.

POSEŁ I.

Masz czasu pięć miesięcy.

MISTRZ.

Gdy posąg ukończę, odwiozę go do Lunaryi.

POSEŁ I.

A wykończyć go trzeba na dzień oznaczony. Żegnaj mistrzu! Panu naszemu zaniemiemy odpowiedź twoją. I ty i on wzajemnie radzi ze siebie będziecie. (*Poselstwo odchodzi, mistrz pozostaje z uczniami*).

WALERY.

O mistrzu, jak wspaniale potrafisz odtworzyć posąg zmarłego króla. Lecz czemuś nie wziął ich złota i drogich kamieni? Przystroiłbyś niemi dzieło swoje, a tłumom

wydałoby się o
odeń blask krus

Mistrz nie
mień w złoto

Nie w złoto
króla na miejs
Dam im posta
technienie ducha
będą... rozkaz

wydałoby się ono wielkie, piękne, czci godne, bo biłby
odeń blask kruszcu.

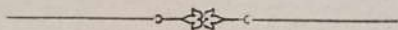
CEZAR (*ironicznie*).

Mistrz nie pragnie złota do dzieła swego, on ka-
mień w złoto przekuje.

MISTRZ.

Nie w złoto, a w prawdę wielką. Dam im żywego
króla na miejsce tego, którego oni do grobu złożyli.
Dam im postać siłą i życiem dyszącą, dam im takie
tchnienie ducha mojego... że zadrzą, zadrzą, korzyć się
będą... rozkaz czuć... niemoc swoją. — Ja tworzyć chcę!...

Zasłona spada.



Odsłona II.

Scena z pierwszego aktu.

Mistrz w pracowni swojej przy zaczętych posągu. Stoi pochylony w głębokiej zadumie z czołem opartem na dłoni. Czas jakiś nieruchomy — zabiera się do pracy. Chwilę pracuje w skupieniu, poczem z ruchem rozpaczliwej niemocy rzuca dłuto; twarz kurczy mu się z bólu, zasłania ręką oczy i opada na siedzenie. Czas jakiś trwa milczenie. Drzwi się otwierają — drganie wstrząsa ciałem mistrza, odwraca głowę ku drzwiom — w progu staje Beatrice, patrzy na mistrza, powoli zbliża się ku niemu, ręką dotyka mu czoła.

MISTRZ (*głosem złamanym*).

Beatrice... nic... nic...

BEATRICE.

Nic... od wczoraj nie postąpiła praca?...

MISTRZ.

Nic... a tu (*wskazuje na piersi*) ból...

BEATRICE.

Mistrzu, czyż nie cierpiałeś, zanim stworzyłeś Olbrzyma?

MISTRZ (*jakby przywołując sobie na myśl tamte chwile*).

Olbrzyma?... Tak — cierpiałem, cierpiałem i tworzyłem.

BEATRICE.

I teraz cierpisz... bardzo cierpisz, mistrzu mój...

MISTRZ.

Beatrice, jak ja cierpię!... *(ze wzburzoną siłą)*. Tu, tu, w łonie mojem mam go, noszę, jestem nim, czuję, królem się nazywam, czyni jego pojmuję, mam potęgę, władzę, wszystko — lud się przedemną na klęczkach korzy — a ja..., *(rozpaczliwie)* nic... nic... nic wydobyć ze siebie nie mogę, nic... słyszysz ty Beatrice, nic!

(Beatrice podchodzi do zaczętego posagu, w którym wyraźnie jest zarysowana prawa ręka wysunięta gwałtownie naprzód).

BEATRICE.

Mistrzu, wszak praca twoja od wczoraj postąpiła! To ramię wyciągnięte, ach! ta dłoń na tłumy ludu wskazująca — mistrzu, ty tworzysz, ty duszę wlewasz do zimnego głazu.

MISTRZ.

Ty to Beatrice tworzeniem nazywasz? Ja nie tworzę, nie, ja jak wyrobnik kuję... A w duszy, w duszy prawdę noszę. *(W natchnieniu, które wzrasta w ciągu całej przemowy)*. Każdy rys króla widzę, czuję, jak wściekłość nim miota, jak mu drżą wargi, jak oczy wyprężają się, by w głąb wnętrzości ofiary spojrzeć, jak mu się zaciska ręka, jak każdy mięsień twarzy w napięciu czeka chwili, w której stanie się, spełni zemstę, co w rokoszy upojenia własnego utonie. Czy widzisz twarz tę przed sobą? Czy widzisz jak wściekłością miotana, taką wściekłością, co na proch zetrzeć zdoła — twarz oczy palające wyteżę przed siebie i patrzy... patrzy

śmiało, bez wytchnienia, bez chwili namysłu, a wzrok ten unieruchamia wszystko co na drodze napotka. Stanie każdy, ktokolwiek przed nią przechodzić będzie, stanie i ze zgrozą, z zimnym, przenikliwym strachem, drżąc cały, ze skurczem w nogach, z pobladłemi wargi, z tym strachem, co mrozu wlewa do żył, do piersi, tam, gdzie bije serce — stanie — i w milczeniu wypełni rozkaz władcy. Widzisz, nie drgnie mu na chwilę ręka wahaniem, żadna myśl obca nie postanie w mózgu, szemranie nie wydobędzie się ze ściśniętego gardła, a wypełni, bo wypełnić musi wolę wszechwładcy. Czujesz, jaką siłę posiadało to nieme, wyprężone ramię, co rozkaz niesie, co zatrzymuje przed sobą istot tysiące i budzi w nich ciszę niezmierną niemocy i posłuszeństwa. Ja ramię to widzę wyciągnięte przed sobą, siłą jego zatrzymany stoję w ziemię wryty i rozkazy wypełniam królewskiej potęgi. Ja jestem najsłabszy, najtrwożliwszy poddany jego, ja strachem miotany oddaję mu wszystko, wszystko moje, byle mnie pozwolił trwać, istnieć, pełzać i kurczyć się przed mocą swoją. Ja ludem jestem, którym on, krwi głodny, rządzi, ja dumnym, co czoło swe zgina przed pana siłą, ja mędrce — co kryje wiedzę przed mocą panowania; — jestem tym, co głos chce wyrzucić przeczenia, a któremu bezsilne słowa więzną w krtani. Jestem całym światem, którym on rządzi — atomem każdym stoję się świata tego, tysiąc serc drga we mnie, tysiąc myśli kipi w mózgu, gdy przed obliczem pana stoję i moc jego niezwalczoną czuję. Ja rozumować nie chcę, ja nie badam, jakie pana są czucia, myśli, ni skąd moc jego idzie, ni jak wielką siłą jego. Milczę; — wzrok mój mrokiem zachodzi, słuch tracę, myśl moja z mózgu wyjść niezdolna —

w oblicze władcy patrzę tylko, patrzę, patrzę — i władzę jego czuję. Całym narodem jestem, całym i jak w nim, zamarły wszystkie pragnienia moje, czucia, jeden mi tylko ślepy strach zostaje, groza taka, że ledwo serca nie wysadzi ze zmrożonej piersi... I stoję, ja niewolnik, ja nędzny, ja lichy robak, ja nicość... stoję przed panem. A w nim drgnienia jednego nie masz. Czas między nami istnieć przestał. Niema długich ani krótkich chwil tej bezwoli mojej, a jego mocy. Tylko czuję, że ta moc potęgą swoją przeszła wszystko, cokolwiek da się określić. On taką posiadł władzę, że na co wzrok swój rzuci — jego istoty częścią się staje. Zanikły granice między nim a stworzeniem wszelkiem, to co go otacza — nim jest, on stał się wszystkim — gdzieby zapragnął tylko, sięgnąłby mocą swoją; narzędziem swoim uczyniłby myśl każdą, każdą wolę, każde ludzkie pragnienie. Ja czuję, jak potęga ta gra we wnętrzu jego — ja sam, ja sam potęgą tą się staję. Jam pan, władca, mocarz niezwalczony, ja Lewiatan! Ja tłumom, narodom, poddanym moim rozkazy wydaję i krwi żądny, w sercach ich pełnych posoki tarzam ciało moje. Ja tej krwi zapragnąłem całego morza, ja patrzeć chcę na kurczące się im z bólu rysy i władzę swoją chcę czuć, czuć, czuć chcę bezmiernie. Ja mocą jestem, z której na tysiące wola moja spłynie. Wszystkich ich pod swojemi widzę stopami — i depczę, niszcę, druzgoczę to robactwo marne, co własnością moją się stało! W piersi mej płonie ogień, w głowie huczy myśl, a w oko, w ramię, które naprzód wyciągam — wola moja spływa, wola — co z nich uczyniła niewolniki, psy podle, rzezańce domu mego! Wstrętny, ohydny naród! Puste, bezmyślne mózgi!

Im przez głowę nie przeszło mierzyć się ze mną, bo nicością są, niczem, bańką pustą, gdy ja, ja mocarz, czuję za nich! Czuję! Ja król Lewiatan, potęgę mam, siłę, moc i naprzeciw stoję, naprzeciw nim, co porównać się ze mną nie ośmielili. Ja jednym spojrzeniem mojem na tłumy śmierć sprowadzę, a dotknięciem ramienia mego w nicość pogrążę, w popiół, proch! Ja deptać chcę po nich! Chcę czuć ich ciepłą posokę grzejącą mi nogi! Chcę dłońmi memi wyszarpywać ich wnętrzności i wyczuwać drgania ich śmiertelne! Chcę włosy im zdzierać z czaszki, chcę z gardzieli wydobywać rżenia ostatnie, patrzeć chcę, jak wszystkie ich członki kurczyć się będą w tańcu przedśmiertnym! Chcę ich, bólu, krwi ich, jęków!... Chcę bezwoli ich użyć, moc własną odsłonić przed sobą i wycę z wściekłości, co mną targa! Straszny jestem!... Niech drżą!... Niech się korzą — niech giną, niech jęczą, niech włosy z rozpaczy szarpią — ja słuchać będę. — Ja pan ich, ja kat, ja szal czuję w sobie, szal taki, co krwią gorącą karmiony być musi! — Ja ich unicestwię, zmiażdżę! — Chodźcie tu kłębiące się ciała, chodźcie, ja wam jęk donioślejszy wydobędę z piersi. Oczy wam z orbit wyjdą, a twarze ból piekielny skurczy! Wy psie syny, wy plemię robacze, wy zgnilizno cuchnąca — kopię was stopą moją, uszu nadstawiam, żeby waszem lubować się kwileniem. Ujarzmiłem was, wy woli mojej podle służalce! Tak po nad wami stoję wysoko, że tylko drzeć wam wolno z trwogi na skinienie moje! I stoję sam... Wy tam tłumy przedemną, a ja tu sam, wasz pan! Sam stoję! Ja waszej nie żądam pomocy. Ja nie chcę od was niczego, Nie przyjmę nic! Niczego nie pragnę. Wy robactwo ziemne,

a ja orze
ja żywa
stworzył
szycie?
precz o
dąb olb
Stoję s
Ja sam
muszę!
tłumię
z tej n
czuć n
Taki
że im
twi p
znosz
nie -
sząc
zadaj
część
wsze
szeń
rącą
nie
lega
tana

rzy

a ja orzeł, co nad światy szybuję! Wy zgnilizna trupia — ja żywa siła; wy woli mojej niewolniki, a ja ten, co wolę stworzyć! Słyszycie? Mnie nad wami przewodzić! Słyszycie? Mnie tu stać samemu, a tłumom, wam — tam — precz odemnie! Słyszycie? samemu! więc stoję sam jako dąb olbrzymi, co wzrostem ponad nędzne wybujał karły. Stoję sam i nie wolno nikomu tknąć majestatu mego. Ja sam! — Żądze, które czuję w sobie, sam zaspakajając muszę! Gdy ból sercem mojem owładnie ryk, w sobie tłumię złowrogi, żeby rozpacz mej nie dosłyszał nikt z tej nędzoty, co się u stóp mych wije. A taki ból odczuć mogę, jakiego te tłumy ludzkie pojąć zdolne nie są! Taki mnie żal, taka beznadziejność ogarnąć są w stanie, że im na wspomnienie tylko strach zjeżyłby włosy i martwi padliby przed nadchodzącą grozą! Mój ból — ja znoszę sam, moją rozpacz — ja we własnem kryję łonie — i sam stoję, ku wysokiemu niebu dumnie wznosząc czoło, a gdy mnie wściekłość ogarnie — udęczenia zadaje niewolnikom moim, by przez ich jęki wyrzucić część tego bólu, co mieszka we mnie! Jam silny, pan, wszechwładca, ja krwi żądny, ja ślepe nakazuję posłuszeństwo, ja ludzkie szarpię wnętrzości i krwią ich gorącą się poję — a ja sam, sam stoję i nikogo na świecie nie masz, komubym duszę otworzył bolącą. (*Chwilę zalega głębokie milczenie*). Beatrice! ja tak duszę Lewiatana czuję!

BEATRICE.

Mistrzu, tyś wielki, potężny, twórca!

MISTRZ.

Twórca? — Ja Beatrice imam się dłuta, a nic stworzyć niemogę. A wszak ja tego króla czuję, ja goreję

tym ogniem, co tyrana palił. Ja duszę jego znam, wolę jego posiadłem, zdaje mi się, że sam krwi i mięsa ludzkiego głodny jestem. I bóle mną szarpia takie, jakich żadnym językiem wypowiedziećbym nie zdołał. Niebo całe nie ujęłoby brzmienia głosu mego. I taką czuję siłę wściekłości w sobie, jak gdybym był dziką wichurą w pustyni. Zrozumiałem tyrana. W marmur wlać zapragnąłem tę duszę olbrzyma, jego wolę, czucia, grozę, wściekłość! W pędzie szalonym biegłem ku pracowni mojej, rzeźbić poczynąłem rysy twarzy, kształty ciała, to ramię z rozkazem naprzód wyciągnięte! Za myślą chciałem biedz własną, za ducha polotem, za czuciem nieśmiertelnem! Dzień i noc wydobywałem z martwej bryły iskrę bytu, życia błysk! — Widziałem go, miałem w sobie tego króla, co ludzi wzrokiem na posłuszne zamieniał gołębie. Ja stworzyć go chciałem takim. Już... już... zdawało mi się, bryła w myśl moją się zmieni, już... z pod ręki mej wyjdzie twarzy wyraz, wzroku potęga — a głaz jak i przedtem stał zimny, nieruchomy. Stał — i jakby naigrawał się natężeniu memu, jakby duszy urągał mojej i tym burzom, które na dnie jej szalały. Zimny, czarny, martwy kamień!... Zdawało mi się że, tak wielką potęgę tworzenia mam w sobie, iż rękę przyłożę tylko, a król żywy wstanie! Ja go w sobie czułem. On dla mnie istniał, on duszą moją rządził — a wykuć go nie byłem w stanie. Dłutem tworzyłem zimne rysy i martwe, obojętne ciało, lecz nie ciało, nie rysy króla tego, co w duszy mojej własną kipiał mocą. Dzień i noc majaczyła przedemną jego potęga i groza, dzień i noc stałem przy zaczętej pracy mojej, a nie wydobyłem z niej nic, coby moje namiętne wyraziło porywy! Beatrice, ja

cierpiałem! Konać mi poczęły serca głosy... Czulem jak ja, wzniesiony gdzieś na wyżyny, opadam w dół; jak moja siła, moja rozkosz i ból poczęcia odchodzą ode mnie; — ja z pustą pozostaję myślą, a przed oczyma blada nędzna, mdła mara tej prawdy, której objawienie miałem w sobie. Wszak ja na szczytach byłem, widziałem takie światy, czulem takie płomienie, że spalić, strawić mogłyby pierś niejedną, a ja... ja... wyrobnik myśli mojej... w bezczynności, strasznej bezczynności stałem. Ja czulem, ja przeżyłem takie chwile, jakie miał król krwiożerczy, jakie naród jego przechodził, a ja tych chwil oddać nie umiałem, w ręku gięły mi się rysy twarzy, kształty ciała wykoszlawiały myśl twórczą. Bezsilny czulem się, słaby... nikczemny śmiech pogardy brzmiał mi w uszach. Czulem, jak wszystko szydziło ze mnie. Czulem się taki mały, pokorny, a śmieszny. A ja Beatrice niedawno królem Lewiatanem byłem, ja urągałem tłumom, ja miałem własną, niezmierzoną potęgę. — Pot zimny oblewał mi czoło, powieki zasuwwały się na źrenice, a tu, w głębi mojej piersi została taka pustka, taki lęk, taki głuchy a niezatarty głos bólu i wzdargy. Zniszczyć go chciałem, sam rzuciałem się na siebie, z pustego mózgu wylać pragnąłem morze myśli, moc potęgi, ale głos niemy nie wydawał echa i z gardła dźwięki nie wychodziły żadne! Ja duszy własnej w twór swój nie umiałem przelać i niezdolny byłem czuciem własnem w innych budzić czucie! Zdawało mi się, że wielki i prawdy bliski, ale praca moja nędzna jest, praca moja zaledwie słabem, nikczemnem odbiciem ducha potęgi. Beatrice i zawsze tak, zawsze tak ze mną. Tłumy wielbią mnie,

za mistrza mają, a ja nędzny, nędzny nie podolam niczemu. Nic nie umiem... nic... nic...

BEATRICE.

Mistrzu, to, co tworzysz, tak wielkiem jest, potężnem, że duchy ludzkie dreszczem uwielbienia i podziwu przenika. Mistrzu twórz Lewiatana! Ja widzę, widzę już te rysy, które ty z duszy wysnujesz i w martwy przeniesiesz kamień. Mistrzu, ja czuję ten strach, grozę, która na mnie od posagu wiać będzie. Mistrzu, myśl twą wcielaj, mistrzu, — głosu duszy słuchaj, twórz — tyś silny, natchniony! Nam nie ująć może płomienia, co w duszy twej gore, lecz nam zrozumieć to, co na świat wydasz, nam czuć tem czuciem, które ty mieć każesz. Mistrzu, ty po nad nami! My może twojej nie znamy duszy, my może niezdolni dorosnąć do niej — ale my twoje odczuwamy dzieła. — Mistrzu, pamiętasz, gdyś olbrzyma tworzył, cierpienia twoje równie wielkie były, tyś tak samo bolał i rwał się w rozpacz, że ducha polotu wcielić nie zdołasz. A patrz coś stworzył? Dzieło twoje przetrwa wieki, z dalekich stron schodzą się ludzie, by pracę podziwiać twoją. Ty nam dawaj co możesz, my ducha twego wielbić będziemy, bo ty na wyżynach stoisz, wysoko po nad nami, a dziełami swemi nam skrzydła przypinasz, byśmy i my mogli zaszybować ku szczytom.

MISTRZ.

Beatrice moja, ty bóle moje koić pragniesz, ty do serca wlać chcesz pociechy słowa — lecz darmo, darmo, ja cierpieć muszę. Cały świat bólu mieszka we mnie, cały olbrzymi świat jęków i szlochań i rozpaczy, buntów nad dolą własną — a nadewszystko bólu, bólu bezmier-

nego. Ja już z tym bólem żyć muszę. Gdy czuję go — tworzyć chcę. Gdy czuję — tworzyć mogę! Z ran serdecznych wysnuwam dzieła moje... Moja dusza przerasta świat cały, ona świat cały mieści w sobie. Moja dusza ogarnia wszystko na ziemi, promieniami swemi niebo oplata. I z tej duszy wylania się, rośnie, potężnieje, wciela się dzieło moje. Beatrice, ja twórca, ja silny! — Lecz słabe, o jak słabe siły moje, jak dalekie one od wyrażenia tego, co w duszy mieszka mojej! Beatrice, jam niezdolny ducha własnego wykuć, wyśpiewać go, wypowiedzieć! I niczem jestem, niczem... niczem...

BEATRICE.

O mistrzu, jakiś ty potężny! Na innych spojrzij, czemuż oni są? Cezar, ten zdolny, znany Cezar.

MISTRZ.

On nie ma duszy.

BEATRICE.

Lecz ty ją masz. Część jej, część drobną poznać nam daj. Może wielu wśród nas ma duszę taką małą, drobną, im pracy twojej trzeba, wskaż im głębinę twoje serdeczne, wskaż jaki duch wielki istnieć może. — Mistrzu, oni nie znają twoich mąk, ale im i rozkosze twoje nieznane.

MISTRZ.

O Beatrice, co mi, co mi do nich wszystkich! Oni! tacy drobni, maluczcy, nędzni...

BEATRICE.

Wszakżeż i ja z nimi; dusza moja ku twoim rwie się wyżynom, lecz ty drogę wskaż, wskaż!...

MISTRZ.

Twój duch jasny, świetlany nie brata się z nimi.
Ty sama ku szczytom wiedziesz niebotycznym.

BEATRICE.

Ja słaba, drobna, cóż znaczę, nie mam nic, nic —
tobie nic dać nie mogę; jam bezsilna, a ciebie z cierpień
wyrwać pragnę; światła nie mam w sobie, a chciałabym
stać się gwiazdą twoją promienną.

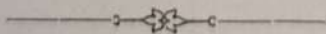
MISTRZ.

Moja, moja — miłością swoją za moim gonisz du-
chem, razem nam, razem na wyżyny lecieć!

BEATRICE.

Tyś pan mój i mistrz, moja miłość zna ciebie je-
dnego na szerokim świecie. Lecz ja lotom nie nadążę
twoim — skrzydeł mi brak — sił brak.

*(Stoi czas jakiś w smutnem zamyśleniu — podcho-
dzi do zaczętego posągu, bierze rzucone na ziemię dłuto.
Przez ten czas mistrz wyczerpany, blady, w zamyśleniu
stoi; Beatrice powoli podchodzi do niego, staje przed nim,
daje mu dłuto do ręki i ku posagowi prowadzi. Zastona
spada).*



Odsłona III.

Scena przedstawia krużganek pałacu króla Filipa w Lunaryi. Naprzeciw widzów z krużganku prowadzą schody na plac obszerny, w głębi którego na wzniesieniu widać posąg cały okryty ciemną oponą. Do krużganku prowadzi dwoje drzwi po obu stronach sceny.

Wchodzi bankier, ogląda się wokoło. Po chwili nadchodzi jeden z radnych królewskich.

BANKIER.

To wy panie królewskim radnym jesteście?

RADNY I.

Ja jestem radnym, lecz czego waszmość żądasz odemnie.

BANKIER.

Żądać nie żądam niczego, ciekawością tylko widziony poznać pragnąłem godność waszą. (*Po chwili milczenia*). Dziś podobno odsłonić mają posąg zmarłego króla Lewiatana?

RADNY.

Tak, dziś go odsłonią.

BANKIER.

A oglądał też kto z pośród was oblicze posągu?

RADNY.

Wczoraj późnym wieczorem przywieziono go z Solaryi. Nikt nie zdejmował zeń opony, bo ją dziś przed całym ludem pan nasz miłościwy odsłonić każe.

BANKIER.

I nie wie nikt jakim jest posąg?

RADNY.

Nikt nie wie. Zenon z Solaryi mistrz to znakomity, godnie dzieło musiał wykonać swoje.

BANKIER.

A pewnie... pewnie... A jakżeż pan wasz najmiłościwszy?... Wszak on bezpośrednim jest następcą króla Lewiatana, — a tamten wielki był mocarz, o wielki. Słyszałem, że lud drżał przed nim z trwogi, że woli jego posłuszni byli radni i wszystkie stany królestwa całego. To i ten wasz panujący taką samą ma pewnie moc w sobie. Ha co? Drżycie wy i przed nim?

RADNY.

Czemu drzeć mamy? Nam radnym przysługują prawa, które woli królewskiej opór stawiać mogą.

BANKIER.

A lud? Czy i lud ma prawa jakie?

RADNY.

Lud? lud króla i nas słuchać winien. Nam na czele stać, motłoch niech słucha.

BANKIER.

Słusznie, słusznie, inaczejby porządku na świecie nie było. A ten posąg, co go dziś odkryją, nie przyczyni się do większego posłuszeństwa ludu?

RADNY.

Tak, niech lud widzi twarz Lewiatana przed sobą, niech wie, że my tu z królem taką jak i zmarły monarcha władzę mamy.

BANKIER.

A król Lewiatan i nad wami władzę miał? — No tak, tak, to były inne niż dzisiejsze czasy... To z was nikt posagu nie oglądał jeszcze?

RADNY.

Mówilem wam raz, że nikt.

BANKIER.

Wiecie, ja myślę, że ten posąg to sam Lewiatan.

RADNY.

Co wy powiedzieć chcecie?

BANKIER.

Czy byłoby wam straszno, gdyby król Lewiatan z grobu powstał?

RADNY.

Nie bluźnijcie, jego zwłoki zabalsamowane w dziewięciu spoczywają trumnach, przebić ich nikt nie zdoła.

BANKIER.

Tak też sobie mówiłem dla pustoty, dla śmiechu. Jakżeż okrutnym musiał być ten zmarły Lewiatan, gdy tacy, jak wy panie radny, dzielni ludzie — strachem i obawą przejęci byli. — Nie wiem ja czy to prawda, lecz w naszym mieście mówiono, że nawet dziś wam miłościwie panujący król Filip życia swego nie był pewny za rządów stryja. Prawdaż to, że mu niejednokrotnie śmierć groziła?

Mistrz Zenon.

RADNY.

Czy prawda? Ma się rozumieć, że prawda. I my, i dzisiejszy król Filip drżeliśmy bezustannie o głowy nasze. Tu na rynku codziennie krew ludzka się lała, któż wiedzieć mógł, czy i własnej swej nie doda.

BANKIER.

Straszne to były czasy!

RADNY.

Bezpowrotnie już przeszły.

BANKIER.

A posąg Lewiatana stawiacie na samym rynku?

RADNY.

Niech lud go widzi, niech wie, że taki jak zmarły król — władca zasiada na tronie i my z nim, radni, co ludem rządzić będziemy.

BANKIER.

O jak mądrzeście to obmyślili. Lecz słuchaj panie radny, posąg ten wam wszystkim może się nie podobać, i słusznie. Wszak mówileś, że z was nikt go jeszcze nie oglądał?

RADNY.

Dwa razy mówiłem, że nie, lecz po co wam ta wiadomość, co wy za jedni jesteście?

BANKIER.

Słuchajcie, czasem lepiej być szczerym, niżeli rządzić się przebiegłością. Ja jestem bankier Denarus, znają mnie liczne królestwa i miasta. Prowadzę handel, kupuję wszystko, cokolwiek zysk mi przynieść może. Ludzie oddają mi plony pól swoich, zwożą do mnie kruszce,

które wy
ma jakąś.
złoto da
czony je
strza. Sł
nie zech
wdę ci
znam...
dostanie
wielką
bić mo
Dlaczego
przysz
słu p
No ja

posąg

dusz
nie

kaz
pos
a c

ob

które wydobywają z ziemi, znoszą wszystko, co wartość ma jakąś. Ja niczem nie gardzę, bo ze wszystkiego szczerę złoto da się wycisnąć. Byłem ja w Solaryi i niedokończony jeszcze posąg króla Lewiatana widziałem u mistrza. Słuchaj mnie panie radny: ani wy, ani król wasz nie zechcecie, by pomnik ten wśród was pozostał. Prawdę ci mówię, ja wielkie handle prowadzę i duszę ludzką znam... Wy mnie posąg sprzedajcie. Gdy on w moje dostanie się ręce, obwozić go będę po świecie i za wielką cenę oglądać pozwolę... Wiele przy tem zarobić mogę. Pomóż mi. Pieniądze każdemu potrzebne. Dlaczego i ty ich mieć nie masz. Odrazu znaczną część przyszłych zysków zostawię w domu twoim. Bez namysłu przystań na to, co ja ci, bankier Denarus, radzę. No jakże, zgoda?

RADNY.

Ale co, — nic nie pojmuję, — dlaczego my tego posągu na rynku postawić nie mamy?

BANKIER.

Dlaczego? przekonasz się sam. Mówilem, że znam duszę ludzką, — wiem czego chcieliście od posągu, lecz nie takim mistrz go stworzył.

RADNY.

Coraz mniej pojmuję; mistrz zrobił przecież co mu kazano. Król i my uradziliśmy, że posąg winien stanąć, posłowie mistrzowi z Solaryi polecili jego wykonanie, — a dziś król odsłonić go każe.

BANKIER.

Eh bratku nie zawsze się tak dzieje, jak człowiek obliczy. Ja i tego w kupieckim nauczyłem się zawodzić.

Dobre wino często skwaśnieje, bo je niewłaściwie na działanie słońca wystawiono. — Co do naszej umowy jasno ci tłómaczę: gdy wy nie zechcecie posagu, spraw, by mnie go sprzedano, ja wyrządzoną przysługę należycie ocenić potrafię.

RADNY.

Na cóż wam, bankierowi, posąg Lewiatana?

BANKIER.

Na handel. Niepokojem ludzkim handlować będę. Sprzedam im wrażeń za denara, dwa, a nigdy nie zabraknie takich, co do budy mojej cisnąć się będą i na progu bić się o wolne miejsca.

RADNY.

Zarobić chcesz?

BANKIER.

Niczego innego nie zapragnąłem nigdy. Dobra rzecz złoto, radzę ci panie radny i ty z mojego zakosztuj worka. O jak miło mieć w ręku trzos pełen pocziwego szczerzego złota.

RADNY.

Ty mnie kusić chcesz.

BANKIER.

Może i kusić, ale co mówię z serca mi płynie. No cóż panie, chcesz, żeby się sprawa między nami złotem zakończyła?

RADNY.

Niech się już i złotem kończy.

BANKIER.

O widzisz, zgoda między nami. Kiedy już na tem stanęło, zejźmy stąd, za podwórcem zamkowym stoją moje wozy podróżne. Znajdzie się tam złoty zadatek przyjaźni. A przyjaźń nas połączyła szczerą: ty mój, a ja twój cel mieć musimy na oku. (*Wychodzą*).

(Czas krótki scena pozostaje pusta; wchodzi Beatrice, przystępuje do balustrady, opiera się o nią i patrzy przed siebie tam, gdzie w oddali widać sylwetkę osłoniętego posagu. Po chwili nadchodzi poważnym, melancholii pełnym krokiem mistrz; Beatrice zbliża się ku niemu, bierze za rękę i prowadzi ku balustradzie, wskazując na posag).

BEATRICE.

Widzisz, on tam, na tym szerokim placu żyć będzie, on, ten zmarły król, któregoś ty ogniem swym wskrzesił, z myśli swej, z czucia, z siły wykuleś własnej. — Mistrzu mój, dobrzeż ci, dobrze? Oni za chwilę przyjdą, posąg odsłonią i twoje ujrzą dzieło. Twoje dzieło, ukochane dzieło twoje. Drzeć przed niem będą wszyscy. Mistrzu, twoją zobaczą duszę.

MISTRZ.

Zobaczają... po co... po co Beatrice im do mojej zaglądać duszy. Ona moja, moja tylko. — Odebrać im, chciałbym ten posąg i do mojego cichego zabrać domu. To moje sny, moje mary, to męki moje i bóle; to jęk, co mi się w obłąkaniu z serca wyrywał, to szal, co mnie ogarniał — to moje czucie, moje płomienne własne czucie, moja trwoga i żal, mój strach i groza, moje walki, niemoc moja, to ja... ja cały. Po co oni na to

patrzeć mają? Po co oglądać duszę, moją własną duszę. Nie chcę. Ja ból czuję, żalność... wstyd! To moje, wszystko moje, a ja przed ich zimny, obojętny, szyderczy wzrok wystawiam. — Beatrice, ty mnie kochasz, prawda nad życie kochasz — czy pozwoliłabyś miłość twoją na urągawisko wystawić ludzkie, czy pozwoliłabyś patrzeć, jak ty kochać potrafisz?

BEATRICE.

Nie mistrzu.

MISTRZ.

A mój duch? pójdzie pod ich pręgierze. Badać go będą, pytać czemu taki nie inny — po co tę lub ową nakreśliłem linię, czy rys, czy kształt. Zdawać się im będzie, że mnie zrozumieli i zechcą naukami jeszcze darzyć. Ja nie chcę wzroku tych ludzi dla dzieła mego. Czy oni mnie pojąć zdolni? Oni bezmyślni, powszedni ludzie, oni, dla których życie szarą, gładką, równą płynie rzeką. Oni w tej szarej, mętnej rzece mego zechcą skąpać ducha! Oni, co nie pojmują nawet czem natchnienia potęga! Czy ja dla nich tworzyłem? Dla takich śpiących serc, pustych duchów! Ja z duszy moją własną pieśń tworzę, śpiewam, ja własną, serdeczną krew leję. — I oni na to patrzeć będą?... to boli.. boli... to świętokradztwo...

BEATRICE.

I znowu ból cię szarpie mistrzu mój. Czyż tylko żalosne zbierać ci kwiaty wśród szerokiego łąnu życia? A twoje dzieła? — nie pojmą ich ci, co na nie patrzeć będą, oni za twoim nie podążą lotem, — lecz mistrzu, — oni czuć będą, czuć silnie, prawdziwie, bo tchnienie

ducha two
śmiertelne

Nie
tworzę —
się, że c
mnie; w
To moje
oddałem
świat c
wiesz —
blada p
cięcia,
chwili
sznym
na m
twórcz

radoś
dłoń

twoja
wiesz

cha

ducha twego prawdę daje — ono wielkie, potężne, nieśmiertelne!

MISTRZ.

Nieśmiertelne! Tak Beatrice, nieśmiertelne. Gdy tworzę — początku myśli mej nie widzę — i zdaje mi się, że całe wieki trwać będzie. Moje dzieła żyją we mnie; w daleką przyszłość patrzę i widzę je wszystkie. To moje dzieci, to kochania moje. Ja im wszystko oddałem z siebie. Gdy tworzę — przed oczu mi znika świat cały, radości jego, cierpienia, nadzieje. Czy ty wiesz — czy wiesz Beatrice, że i twój jasny obraz mgła błąda przysłania, bo ja nie znam nic, krom tego dziecięcia, co w piersi mi życiem, istnieniem wzbiera. (*Po chwili milczenia*). Beatrice słodka, moja ty, czy grzesznym ja bardzo, przeciw tobie grzeszny, że sił mi już na miłość dla ciebie nie staje, gdy mi w duszy myśl twórcza zabłyśnie?

BEATRICE.

Gdzie twoje szczęście — tam ja z tobą. Tworzenie radość ci niesie, twórz mistrzu w nieskończoność — niech dłoń moja wskazuje jeno nowe drogi. Ja za tobą pójdę.

MISTRZ.

O jak niezmierną dobrocią przepelniona jest dusza twoja. Skąd znasz ty pragnienia moje wszystkie, skąd wiesz czem żyć mogę?

BEATRICE.

Kocham cię mistrzu.

MISTRZ.

A gdybym Beatrice ciebie dla innej opuścił kochanki?

BEATRICE.

Umarłabym...

MISTRZ.

Zdaje mi się czasem Beatrice, że małą, słabą jesteś dzieciną, a jednak jest w tobie siła jakaś wielka — czuję chwilami, że nie ja idę po życia mojego drogach, a ty mnie wieszysz, ty.

BEATRICE.

Ja słabym, wątłym jestem powojem, ty mistrzu mój pniem silnego, wysokiego drzewa. Opleść się muszę wkoło ciebie, ramionami u gałęzi twoich szukać podpory, by w słońca wybiedz blask świetlany i białym zakwitnąć kwieciem.

MISTRZ.

Kwiatem mi jesteś białym, ku słońcu piąć się pragniesz, ku słońcu, życiu co pali, kipi, wre! Ja żyć chcę, żyć z tobą i sztuką. Czuć, żyć, tworzyć, mękę cierpieć, lecz tworzyć, wznosić się na wirchy wysokie, czołem szczyty przerastać — wyżej ku słonecznym biedz promieniom! Kropla po kropli sączy się ze mnie życia źródło i tryska, spienioną piętrzy się falą, niesie z sobą siłę, żar, czucie, upojenie. — Wśród blasków dnia i nocej ciemni z ducha wysnuwa się wątek, wzrasta, potężnieje, tworem się staje. Ja czuję, żyję, tworzę, panuję! Ja całym rządzę światem! Patrz! *(wskazuje ręką w stronę posagu)* ci wszyscy, co tam przyjdą, przed moim skamieniem! Lewiatanem. Ja tego chciałem, jam to uczynić zdolny. *(Słychać zbliżające się odgłosy kroków na placu i widać zdala gromadzące się tam tłumy)*. O patrz, patrz już idą tłumy! Patrz, król ich idzie, władca wielkiego

kraju, pan tysięcy ludzi. I cóż on, czy większy nade-
mnie? Jemu blask nie bije z czoła, chwała skrzydeł swych
nad nim nie roztacza jasnych. On król — ja mistrz.
I takiego siłą swą kamiennego mocarza stworzyłem, że
władca moją uczuje władzę... Widzisz — idą, ciągle idą,
bliżej są posągu bliżej, mnie bliżej... Widzisz, król na
czele orszaku staje. Tamci to radni jego, to panowie
przedni tego królestwa. Za nimi niezliczony tłum. Ludzie,
ludzie, ludzie... Już stanęli — już chwila tylko mała —
a posąg odsłonią. — Beatrice, widzisz, już, już... pierwsze
posągu występują rysy... Widzę go, coraz więcej widzę...
Ahl... *(W tej chwili okrzyk przerażenia i grozy wyrywa się
z piersi tłumu, chwilę potem trwa głębokie, milczenie wre-
szcie odzywa się przerażony głos króla: »Zakryć go, zakryć!«
Robi się gwar wśród tłumu, głosy powtarzają: »Zakryć
go!« Mistrz w upojeniu stoi, tryumf świeci mu na twarzy).*

GŁOS KRÓLA *(z głębi sceny).*

Kto, kto jest twórcą jego?

ODPOWIEDŹ.

Miłościwy panie! wedle woli twojej wykonanie po-
sągu poleciliśmy mistrzowi z Solaryi, — on go tu wczoraj
przywiózł.

KRÓL.

Gdzie on?

ODPOWIEDŹ.

Tam najjaśniejszy panie, na krużganku lewego
skrzydła.

INNY GŁOS.

Stoi tam z niewiastą swoją. *(Po krótkiej chwili król
wchodzi na krużganek, za nim tłum radnych, wśród nich
posłowie, bankier, Cezar).*

KRÓL (*do mistrza głosem podniesionym*).

Jak ty śmiałeś, jak śmiałeś tam — taki posąg wystawić? Jak śmiałeś, — ja ci wydałem rozkaz, byś godnie majestat przedstawił króla. Słyszysz, ja chciałem, żebyś ludowi pokazał co jest władza, siła, potęga. Ludowi — niech lud uchyli czoła. A ja żebym na dzieło twoje patrzył i czuł, że ducha mego jest bliskie. Czy ty pojmujesz... (*Zwracając się do radnych*). Kto z was do Solaryi jeździł? Kto rozkaz mój zaniósł mistrzowi, kto?

POSEŁ I.

Ja, panie.

KRÓL.

Czyś ty nie wiedział, co rzec kazałem, czyś woli mej nie pojął?

POSEŁ I.

Tak jak ty rozkazałeś, o królu, ja twoją spełniłem wolę. Mistrzowi mówiłem, że w posagu ma uosobić zmarłego króla majestat, wykazać, jaka monarchów Lunaryi potęga, jaka wielkość i powaga, — że dość panie na twoje spojrzeć oblicze, aby poznać, iż władcą jesteś.

KRÓL.

Słyszysz, tak ci sługa mój mówił. Czemu nie spełniłeś rozkazu mego?

MISTRZ.

Panie, słudzy twoi kazali mi prawdziwego stworzyć Lewiatana i oto jest on takim, jak wtedy, gdyście niemieli ze strachu na widok jego.

KRÓL.

Słyszycie? Co on mówi? Jak wy moje przeinaczycie rozkazy. Pierwszy radny królestwa mego wystąp i wolę moją wyjaw.

RADNY I.

Wolę twoją najmiłościwszy panie wszyscy znać i szanować winni.

KRÓL.

Wszyscy znać i szanować winni.

RADNY I.

Boś ty pan i król.

KRÓL.

Bom ja pan i król. Ja dziedzic tronu Lewiatana, ja mam taką moc i siłę — jaką on władał, ja wasz pan, wy nędzne sługi moje...

RADNY I.

Panie, wola twoja święta, wolę twoją zna każdy, każdy jej słucha.

KRÓL.

Czemuż on nie poszedł za nią?

RADNY I.

Panie, gdy każesz, zadość jej się stanie, każ mu zabrać posąg.

KRÓL.

Zabrać? — Nie, nie, niech nie zabiera posagu. Tego posagu tknąć nie wolno! I nikomu nie wolno nań spojrzeć. Niech ten stoi, lecz niech innym będzie! (*Do mistrza po chwili*): Słuchaj, ja pan, ja król miłosierny. Wybaczę ci, wszystko wybaczę... Ty posagowi zmienisz

twarży wyraz. Każę ci dać złota, drogich kamieni, przyozdób niemi królewskie oblicze, koronę włóż na głowę, berło daj w rękę. Niech królewski majestat w całej pełni okaże się ludowi. Niech lud wie, że drugi król, zmarłego następcą, rządzi nim. Dziesięć dni czasu ci daję, uroczystość odsłonięcia pomnika odłożyć każę, zniosą ci stopy złota i klejnotów. Idź do pracy, umiem za wierną wynagradzać służbę. Idź!

MISTRZ.

Mnie każesz iść posagowi memu złotem twarz przyozdobić? Mnie każesz, mnie mistrzowi? A któż jest, ktoby rozkazywać mi był zdolny? A któż, ktoby mnie zmusić mógł do wykoszlawienia pracy mojej, ducha mego? Królu — ten posąg, to prawda! Królu — ten posąg — to Lewiatan żywy! Z grobu go wskrzesilem, na świat po raz drugi wydałem. Już on nie zmarły, już on ten sam żywy Lewiatan patrzy na was. Ty czujesz. I drżysz, boś drżał za życia tamtego groźnego władcy, bo w sobie mocy jego nie masz, bo tobie sił jego brak, ducha brak, potęgi, grozył!

KRÓL (*zwracając się do radnych*).

I wy mu zmilknąć nie możecie? On bluźni przeciwko mnie, com królem waszym i wokół nie masz nikogo, ktoby trupem położył bluźniercę. (*Do mistrza*): Ja cię za słowa te świętokradzkie do lochu zamknąć każę, na głód, na wilgoć, zgniliznę. Ja mam liczne wojska, dom ci każę spustoszyć w Solaryi, a ciebie w kajdany okuć, do ciemnicy wtrącić. Ja mam siłę wielką, Widzisz — to wszystko dworu mego panowie, możni, a mnie słuchają. Te tłumy ludu nieprzejrzane moich

czekają
Rozkaz
ozdobić

Ja
kazywa

muż w

należ
do p

stał
czem
placi
wyz

row
inn
pos

Ni
trz

czekają rozkazów. I ty mnie, króla, miałbyś nie słuchać? Rozkazuję ci twarz posagowi zmienić, złotem mu przyozdobić oblicze.

MISTRZ.

Ja twego nie posłucham rozkazu i mówię ci, rozkazywać nie umiesz. Umiał Lewiatan.

KRÓL.

Jakto, co słyszę? Radni moi, cóż mi uczynić, czemuż wy nie stajecie w obronie króla swego i pana?

RADNY I.

Dobrze mówiłeś królu, że twarz posagu zmienić należy, i dlatego siłą mistrza zmusimy, żeby się wziął do pracy.

RADNY II.

Nie możemy zezwolić, by na rynku naszego miasta stał ten — straszny posąg. Z mistrzem damy sobie radę, czemuż on jest, że władzy naszej słuchać nie chce — płatny wyrobnik i tyle, zdaje mu się, że za mało złota wyznaczyliśmy dotąd.

INNY RADNY.

Ja lepszą dam radę. Posąg ten sprzedajmy bankierowi Denarusowi, a za otrzymane pieniądze sprowadźmy innego mistrza, który zrozumie lepiej, czego chcemy od posagu.

KRÓL.

Nie, posąg ten nigdzie być nie powinien!

BANKIER.

Ja go z przed oczu twoich usunąć pragnę królu. Nie godzien on, by wzrok twój choć krótką chwilę zatrzymał się na nim. I nie każ go panie przerabiać, po co?

Zabiorę go, śladu po nim nawet nie zostanie, a wynajdę mistrza wielkiego, któremu ty królu natchnieniem sam będziesz. Panie — każ mu zrobić twarz swoją, tak, tak, to dziełu niezrównanej powagi i majestatu doda.

KRÓL.

Nie, nie wolno ruszyć posagu, zmienić mu, twarz mu zmienić trzeba.

CEZAR *(występuje z tłumu, zgina kolano przed królem i oddaje mu korny pokłon).*

Królu, panie, oto ja nieznany ci cudzoziemiec, moje usługi kornie ofiarować pragnę. Panie, ja posagu twarz przerobić mogę, ja mu nadam podobieństwo rysów twoich, włożę koronę na głowę i berło dam do ręki.

KRÓL.

Kto ty jesteś?

CEZAR.

Niegdyś uczeń mistrza, młody jeszcze, więc nieznany. Posiadłem wszelkie tajemnice sztuki rzeźbiarskiej, a ty pozwól panie, bym sługą został twoim.

MISTRZ.

O Cezarze, czyż ci się naprawdę zdaje, że sztukę prawdziwą znasz?

CEZAR.

Gdy pan miłościwy zawezwać mnie raczy do roboty, zobaczą wszyscy, czem ja jestem.

KRÓL.

Dzielny młodzian z ciebie. Idź, niech ci posąg odkryją, twarz jego zniszcz natychmiast, a nową zrób wedle woli mojej.

Królu,

A któ

Ja —

Ty z

ma innej

uwięzić go

zwołać na

(Pa

rywa się

chwytą t

zgocze go

szczenia)

Jes

BEATR

M

O

MISTRZ.

Królu, nie wolno Cezarowi tknąć dzieła mego.

KRÓL.

A któż mu zabronić może?

MISTRZ.

Ja — mistrz!

KRÓL.

Ty zabronisz? Ty? Czy nie wiesz, że woli tu nie ma innej nad tę, co odemnie wyjść może. — Radni, uwięzić go każcie pacholkom i do ciemnicy wtrącić. Sąd zwołać na jutro — *(do Cezara)*: weź się do pracy.

(Pachołkowie otoczyć chcą mistrza, ten z mocą wyrwa się im z rąk, wybiega schodami, pędzi przez plac, chwytając topór leżący koło posagu i jednym zamachem drugocze go. Wszyscy w przerażeniu patrzą na dzieło zniszczenia).

KRÓL *(woła)*.

Jeszcze raz zgiął Lewiatan!

BEATRICE *(wyciąga ręce w stronę mistrza, wołając)*:

Mistrzu mój, biedny mistrzu!

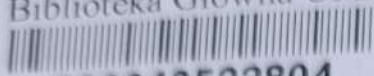
BANKIER *(zwraca się do radnego)*,

Oj bracie, nie zarobisz u mnie złota...

Zasłona spada.



Biblioteka Główna UMK



300043522804

162720
150
4.5
357 m

Biblioteka Główna UMK



300043522804

